Nr. 10 (1624) Warszawa, 9 marca 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Mesjasz czy Parjas narodów?

(Nowoczesna praca u podstaw).

> Ani zadaniom naszego bytu, ani wymaganiom, jakie zorganizowanej zbiorowości ludzkiej stawia dziś nowoczesność, samymi siłami szczupłej inteligencji podołać nie możemy. Potrzeba te siły odświeżyć, tymbardziej, że w naszym ludzie tkwią wielkie moce, wielkie uzdolnienia, które potrzeba tylko wyzwolić z kajdan ciemnoty i nędzy, ażeby się objawiły wspaniale i wzięły czynny udział we wszystkich kierunkach naszej kultury.
>
> *A. Świętochowski.*

Niepodobna być maruderem życia bez najgorszych dla siebie następstw — pisaliśmy w roku zaprzeszłym. Zadługo i zanadto odwracała nas ideologja zaobłoczna od zagadnień realnego bytu: Polska nie może żyć prowizorycznie z dnia na dzień czekając na „godzinę cudu", co konjunktury zewnętrzne na naszą korzyść zmieni.

Potrzeba nam czynu. Nie tego, o którym śnią w tęczowych snach poeci: najwyższy już czas dokonać u nas rozdziału poezji i życia.

Potrzeba nam czynnej prozy.

Będzie nią ekonomiczne i społeczne podźwignięcie kraju przez intensywny rozwój nietylko wielkiego przemysłu i handlu, lecz nadewszystko przez pobudzony zmysł współpracy, przez technikę zrzeszeń, przez praktykę powszednią samopomocy. Idzie o to, żeby naród nasz nie został nieodwołalnie przez innych wyprzedzony w nieustającym doborze środków, w szybkim doskonaleniu techniki życiowej, w realnej walce o byt.

Jest to mus — i stawiamy go przed oczy społeczeństwa.

Czeka nas mrówcza, mozolna praca u podstaw; zbyt długo krańcowy pogląd na istotę obecnego ustroju skłaniał sfery lewicowe do lekceważenia tej *sprawy dobrobytu mas ludowych* dziś jest ona na pierwszym planie i domaga się względów należnych.

Niedość, że jesteśmy zewsząd skrępowani, jeszcze upośledzamy się sami, a to już jest najgorsza forma upośledzenia. Patrząc leniwie i biernie na gospodarkę całych watah obcych przybyszów w naszym przemyśle i handlu, pocieszamy się frazesem, że póki trwa ucisk polityczny, nic się nam nie powiedzie i o żadnej owocnej pracy nie może być mowy. Tymczasem z pomyślnych konjunktur gospodarczych po roku 63 umieli skorzystać inni, a zakres pracy kulturalnej i oświatowej po roku 1905 dotychczas nie jest wypełniony w dziesiątej nawet części.

Ciemnota, lenistwo i nędza — oto wewnętrzne nasze źródła zła.

Polska jest krajem ubogim. Przemysł t. zw. polski daje nam minimalne korzyści, bo polskim nie jest, nie jest nawet krajowym. Natomiast pomnaża u nas armię proletarjatu, skazanego na byt jaskiniowców i troglodytów, na wegetację opłakaną w mrokach grubego fetyszyzmu, na rozpaczliwe i bezcelowe konwulsje buntu.

„Nadwartość" wędruje zagranicę; część mała bogactw, pracą fizyczną zdobytych, w kraju pozostaje, część jeszcze mniejsza produkcyjnie bywa użyta; większość — tak, jakby nie istniała...

Pozostają po niej dymy fabryczne, ohydne ulice Bałut albo Woli, bezładne strajki i doktryny skrajne, którą lżą społeczeństwo i złorzeczą ojczyźnie.

A wychodźtwo? Samiśmy winni tej beznadziejnej nędzy, która miljony naszego ludu spycha na poziom parjasów międzynarodowych, pędzi na los tułaczy, na poniewierkę...

Kiedy czytamy w gazetach, że w kopalniach nadreńskich wybuchły gazy, zabijając setki górników, że w Pittsburgu, w olbrzymich stalowniach szerzą się krwawe rozruchy, że zatonął parowiec z całym ładunkiem emigrantów — przeczucie niechybnie nam mówi, że tam giną Polacy... Niegdyś ginęli na polach bitew, dziś mniej chlubną ale stokroć cięższą pełnią służbę najmitów w dolnych kondygnacjach pracy. Oni to dobywają węgiel pod wzgardliwym okiem Niemca-dozorcy, oni żyją w straszliwym zaduchu i brudzie trzeciej klasy na statkach bremeńskich, oni pełnią w amerykańskich trustach stalowych i mięsnych, pospołu z murzynami, najcięższe i najniższe posługi — oni, wszędzie oni... Prócz Irlandczyków i Żydów nie ma chyba narodu przez los więcej doświadczanego..

Na tle długiej Kalwarji narodowej nasi wieszcze utkali złote hafty przepięknej poezji, opiewającej posłannictwo Polski wśród narodów; podobnie prorocy hebrajscy, upadając pod brzemieniem bólu, olśnili świat najcudowniejszą liryką; cóż, kiedy trzeźwy umysł ostrzega, że nie mesjaszem, lecz raczej *parjasem narodów* możemy zostać, jeśli nie wydźwigniemy się z tego położenia.

* * *

Trzeba było długiej serji klęsk i zawodów politycznych, kiedy jeden za drugim rwały się jak wątłe nici pajęczyny owe naprzełaj rzucane mosty ku lepszej przyszłości — aby wówczas dopiero nasza myśl polityczna, zawieszona gdzieś u zawrotnie wysokich stropów, spojrzała w dół przytomniej i odkryła w ziemi ojczystej ziejące źródła zła. Poczęto więc wzywać naród do pracy od podstaw, a przeciwko temu pierwsi zgłosili protest ci, co uprawiają najpopularniejszą na ziemiach polskich metodę integralnego patrjotyzmu.

Ci przestrzegają, że praca organiczna pragnie zastąpić politykę; nie dziwi nas ta jednostronność, bo któż tu inaczej rozumuje?

Ale wypada stwierdzić, że praca organiczna nietylko nie ruguje polityki, lecz ją dopiero na właściwym, realnym stawia gruncie.

Skądinąd, z obozu wiecznych illuminatów padają zarzuty, że praca organiczna chce duszę narodu zbrukać grubym materjalizmem — jakgdyby nie było wiadome, że nic tak duszy zbiorowej ku ziemi nie ściąga, nic jej tak skrzydeł nie łamie i nie bruka, jak nędza, na grosz łakoma i niewybredna w środkach...

I jakże tu zresztą szerzyć kult ideału w kraju, gdzie wyuzdane złodziejstwo kradnie węgiel ze składów, podkłady z toru, belki z mostów, odkręca klamki u drzwi po wagonach, unosi całe wiorsty drutów telefonicznych, co należy wszak u nas do rzeczy zwykłych!...

Zarówno w życiu indywidualnym, jak zbiorowym niezbędne jest pewne minimum dobrobytu, by stworzyć ten dobroczynny klimat duszy, w którym idealizm dopiero przyjąć się i wzejść może. I o tym pamiętać winni bezpłodni nasi „idealiści".

Powinni o tym pamiętać również i rzecznicy czwartego stanu, którzy w dzisiejszych hasłach pracy organicznej słyszą znów stare Guizotowskie wezwanie, *ad usum* tych nielicznych grup, co bogacąc się cudzą pracą, chcą mieć zarazem przekonanie, że świadczą wielkie dobro krajowi.

Dość zresztą zauważyć, że dziś obok mieszczaństwa klasą „na dorobku" jest i lud wiejski, oszczędny, twardy, pracowity.

ECHA PRAWDY.

Jak „Światło" pojmuje romantyzm.

Proletarjat nasz nie posiadł jeszcze, niestety, ani organizacji własnych, ani własnych organów; krzątają się więc na tym terenie i rządzą samowładnie różni orędownicy i mniej lub więcej uczciwi maklerzy, w wiecznej między sobą rozterce będący, podzieleni na zwalczające się zajadle sekty, z których każda rości sobie bezwzględną nieomylność i wyłączne prawo do przedstawicielstwa klasowych ludu miejskiego interesów.

Do tej roli poczuwa się też i *Światło*, tygodnik, który nie chce, by go „burżuazyjnym" zwano. Wydawcy i publicyści *Światła*, z urojonych wyżyn strofując wszystko, co leży poza granicami szczuplutkiej ich parafji, byliby śmieszni, gdyby nie byli szkodliwi: jakoż jedyną „pozytywną" dotychczas ich pracą była kampanja podjęta przeciw *Tow. Kultury Polskiej*, co wytknęliśmy tutaj niedawno.

Obecnie wydawcy i publicyści *Światła* zwrócili swój front bojowy przeciw innemu jeszcze „wrogowi" proletarjatu: przeciw hasłu pracy organicznej.

Pełni lekceważenia i niechęci, silą się zapewnić swoich pupilów, że dzisiejszy program pracy organicznej „mieści w sobie tę samą treść, jaką zawierał w okresie popowstaniowym"·

To twierdzenie jest, oczywiście, fałszem krzyczącym, bowiem, jeśli przed laty 40 program pracy organicznej, pod egidą mieszczańskiego liberalizmu, tworzył u nas nową i bardzo doniosłą formację społeczną (mieszczaństwo przemysłowe i kupieckie) to dziś ten program jawi się w świetle współczesnych haseł radykalistycznych i „pracę od podstaw" każe budować przedewszystkim na gruncie zrzeszeniowym wszelkiego rodzaju, a więc na gruncie idei współdzielczej, solidarystycznej, zmierzającej do podźwignięcia gospodarczego najszerszych mas ludowych w miastach i na wsi.

Lecz *Światło* nie chce tego widzieć. Ze specyficzną zjadliwą perfidją zapewnia: „Dawniejszy romantyzm polegał na dążeniu do odzyskania niezawisłości narodowej z bronią w ręku. Dzisiejszy, pożal się Boże, romantyzm w swoich nawet maksymalnych upragnieniach nie sięga dalej skromnej autonomji." Ergo — praca organiczna jest poprostu „ugodą".

Światło zdaje się nie wiedzieć, że autonomja była i jest programem politycznym tych samych pozytywistów, którzy propagują hasło pracy organicznej. A romantyzm? Niechże go publicyści *Światła* szukają w sąsiedztwie, w pobliżu... Niedawno jeszcze z nim żyli pod jednym dachem, bar-

Rosnący dobrobyt tej masy nie omieszka wywrzeć dodatniego wpływu na cały kraj, który pozyska dla swego przemysłu właściwe dopiero pole rynek wewnętrzny o wzmożonej sile odbiorczej i rosnących potrzebach spożycia. W równym stopniu dźwignąć się musi poziom wymagań kulturalnych.

Praca u podstaw byłaby dziś urągowiskiem, gdyby z powierzchni nie zstąpiła na samo dno społeczne, niosąc tam nietylko dobroczynne światło, ale i nowoczesną technikę życia, gdyby nie kładła głównego nacisku na tworzenie szkół i kooperatyw.

Na tym polu nieomal wszystko jest jeszcze do zrobienia.

A przeszkody — natury od nas niezależnej?

Powiedzmy szczerze, nawet ten skromny zakres możliwości prawnych, jaki posiadamy w VII-ym roku „konstytucji"—nie jest dotychczas wypełniony. Wiele najzupełnie legalnych terenów leży odłogiem, omijanych zdaleka, pod pierwszym lepszym pretekstem przeszkody formalnej.

Ile powstać by mogło w kraju szkół rolniczych, zawodowych, rzemieślniczych, handlowych, przemysłowych, gdyby naród nasz umiał nareszcie wykrzesać ze siebie iskrę realnego zmysłu pracy i wiedzy!...

Ile powstać powinno stowarzyszeń współdzielczych, dających byt użyteczny tysiącom tych, co tracą posady np. na kolejach państwowych?

Na miejsce wysychających tu i owdzie polskich źródeł gospodarczych, tworzyć należy nowe, obfitsze, z większą bijące siłą, a nadewszystko niezależne od obcych.

By stawić tamę zgubnej dla narodu proletaryzacji i pauperyzmowi, trzeba krzewić usilnie instynkt wspólnej własności, zmysł współpracy zbiorowej w stowarzyszeniach wszelkiego rodzaju; w tej dziedzinie dotąd nie wznieśliśmy się ponad organizację koncertów i teatrów amatorskich; dość przejrzeć kronikę miast prowincjonalnych.

Czas już najwyższy po temu, by uznać w prasie, w polityce, w literaturze — że czynnik gospodarczej emancypacji kraju i dobrobytu mas ludowych gra w życiu główną rolę.

U nas jest on jeszcze dorywczo, niedbale traktowany, a na miejscu naczelnym zasiada — literatura i sztuka, w jednakim stopniu przejęte nienawiścią i wzgardą dla przyziemnych zadań pracy organicznej.

A tymczasem, wobec inwazji obcego przemysłu i handlu, naród polski razem ze swą poezją i sztuką schodzi na poziom najmity, zawistnie wpatrzonego w sąsiedzkie gody; lub też wyrzeka się quasi — dobrowolnie dóbr doczesnych, nie chcąc uczestniczyć w „zbrodniach ustroju".

Stąd u nas tyle ostatnimi czasy bosiackiej filozofji, której echa tułają się po literaturze neoromantycznej, umie ona w sposób szczególny łączyć wybujały aż do ekstazy patrjotyzm z nihilizmem rdzennie rosyjskim, który polega na nienawiści i lekceważeniu „burżuazyjnej" kultury Zachodu...

Na tej niebezpiecznej pochyłości, skąd naród nasz byłby się stoczył nieodwołalnie na dno biernej, skąpej, piwnicznej wegetacji — wstrzymał go na szczęście realny instynkt życiowy, co siły nasze zestrzeli i skoordynuje w świadomej pracy nad podźwignięciem nas do poziomu innych szczęśliwszych społeczeństw.

J. G.

---

dzo zgodnie. Potym powstały swary, niesnaski. Wreszcie — rozwód. Sądzimy jednak, że Baucis dotąd jeszcze pamięta Filemona. Poczóż więc ta obłuda naiwnie rozfargniona?

Jak „Światło" oświeca kłamazy.

Światło nie lubi *Prawdy*. Unika jej. Niekiedy ją fałszuje. Gdzie może, tam się z nią mija.

Rozminęło się z nią zupełnie, twierdząc:

— Grupy, które dzisiaj głoszą hasło „pracy u podstaw" są śmiertelnymi wrogami tej „pracy u podstaw" proletarjatu. Tą pracą jest i musi być dźwignięcie kolosalnych kooperatyw robotniczych związków zawodowych, imponujących oświatowych instytucji"

Tego wszystkiego nie chcą „organicznicy"... Czy tak?

Spojrzyjmy *Światłu* w same białka oczu.

Najpierwszym u nas teoretykiem i gorącym rzecznikiem kooperatyw był Jerzy Kurnatowski. Spotykał ze sfer bliskich *Światłu* złośliwe, zajadłe przeciwdziałanie. Pierwszym praktykiem tego ruchu był Wojciechowski, również w tych sferach niepopularny.

Konieczność wolnych związków zawodowych uznało nawet *Koło przemysłowców polskich*; to chyba wystarcza.

Imponującą instytucję oświatową dla ludu dźwignęło *Tow. Kultury Polskiej*. Kto pod nią dołki kopie? *Światło — et consortes*.

Ustaliwszy te fakty, weźmy raz jeszcze pod światło pp. wydawców i publicystów *Światła* i spróbujmy dociec, co właściwie skłania tych ludzi do tak oczywistych i w oczy bijących fałszów? Dlaczego nie w smak im poszło hasło gospodarczej emancypacji szerokich mas ludu, który nędznymi swymi groszami karmi chmary drobnych pośredników?..

I dlaczego właściwie *Światło* usiłuje cały ruch organiczny sprowadzić do rozmiarów... *hecy antyżydowskiej?*

— Tak, tak! — woła *Światło* — Nad Newą ponosicie same porażki. A „żydek siedzi tuż obok za ladą sklepową i sprzedaje cynamon, wódkę(?) perkaliki". Więc hajże na Żyda! I to ma być praca organiczna!

— Ale „heca ta jest bezpłodna!" — uspakają *Światło* (nie robotników polskich oczywiście, lecz „żydków za ladą sklepową", którzy istotnie każdą na wsi kooperatywę uważają za akt dzikiego żydożerstwa, niemal za pogrom.) *Światło* dodaje im otuchy, rozwiewa ich obawy, klnąc się na wszystko że do walki śmiertelnej z pracą organiczną, co tworzy zgubne dla „żydków" kooperatywy — stanie cały proletarjat polski, którego „bojowy światopogląd" oburza się na taką „robotę"..

Egzamin dojrzałości czwartego stanu.

Nie w junkiersko-socjalistycznych Niemczech, gdzie panuje bezduszny szablon marksizmu, nie we Francji, gdzie wśród robotników rej wodzą wrzaskliwi i warcholscy anarchiści, lecz we właściwej ojczyźnie demokracji, w Anglji, zasnutej dymami niezliczonych fabryk, składa proletarjat, w obliczu zdumionego świata, pierwszy swój egzamin dojrzałości.

Olbrzymi strejk miljona trzystu tysięcy górników, zgodnie z zapowiedzią i na mocy ścisłego plebiscytu, rozpoczął się 1-go marca. Próba rozejmu, z którym wystąpił popularny i poważany premjer spełzła na razie na niczym, jakkolwiek pokojowe załatwienie sprawy nie jest jeszcze wyłączone.

Tymczasem cały olbrzymi, tętniący wartkim pulsem, pełen zazwyczaj rytmu potężnej twórczej pracy, organizm przemysłowy Anglji powoli zastyga. Węgiel, co przelewał się w jego szerokich arterjach, zanika powoli, sączy się leniwie i skąpo, jak krew w zamierającym ciele. Wszystkie organy kolejno zdają się zastygać w anemji; nieprzeparta śpiączka, jak w słynnej bajce, owłada wielkimi centrami życia; cisza martwoty kładzie się całunem na gwarną i pracowitą wyspę; kto zna charakter jej życia ten stwierdzi wespół z p. Asquitem, że strejk obecny to największy w dziejach Anglji kataklizm.

Mimo to wszystko, mimo swoich rozmiarów gigantycznych i olbrzymiego znaczenia, nie ma bezrobocie górników angielskich bynajmniej zewnętrznych cech t. zw. *rewolucji*. Porządek nigdzie nie jest zakłócony, nienawiść tłumów nie buszuje po miastach jak orda mongolska, robotnicy sami pilnują ładu, żadnych nie żywiąc animozji do państwa i społeczeństwa, które szczerze stanęło po ich stronie. I rzecz szczególna, a dla nas, wychowanych w innej szkole i wprost odmiennych warunkach — nawet niezrozumiała: owe miljony karnego proletarjatu żadnych nie wystawiają żądań natury ogólnej; wszystko, czego chcą, streszcza się w zwięzłej formule: *ośm godzin pracy, ośm godzin wypoczynku, ośm szylingów dziennie*.

I tu, w tym pełnym rozwagi umiarkowaniu, w tym czysto brytańskim zmyśle praktycznym, widzieć można rękojmię, że proletarjat angielski zdobędzie dyplom dojrzałości, nawet wówczas, gdyby strejk skończył się narazie porażką.

Składa on bowiem wybitny dowód, że jest nietylko fizyczną, ilościową potęgą, ale nadto zespołem, zdolnym nad swymi ruchami panować i nadawać im pewne *maximum* celowości obok minimalnych, jasno określonych żądań; taki przeciwnik budzi respekt i nakłania do ustępstw nawet wówczas, kiedy nie on dyktuje warunki pokoju...

Ów specyficzny charakter kryzysu nie wszędzie jest dobrze rozumiany. Rozległy się u nas głosy, przypisujące górnikom angielskim intencje i metody rewolucyjnych francuskich syndykalistów, których nazbyt u nas głośnym teoretykiem jest oryginalny skądinąd i ciekawy pisarz-fantasta Jerzy Sorel. Nic błędniejszego jak to dowolne zestawienie. Sorelowska apologja gwałtu wywołuje w Anglji pogardliwe wzruszenie ramion. Francuski „piewca burzy" liczyć może na sympatyczne echa w Rosji i w tych krajach romańskich, gdzie długoletni rygor katolicki wespół z temperamentem zapalnym usposabia do wszelkich zamachów stanu. Anglosaski duch *trade-unionów*, stokroć mniej czyniąc hałasu, stokroć skuteczniej podważa władzę feodałów fabrycznych. Słusznie też nazywa *Kultura Polska* obecne bezrobocie „walką tytanów", przewidując, że w Anglji rozstrzygną się nasamprzód losy proletarjatu i zrodzi się nowy dla kulturalnego świata wzór doskonalszego współbytu.

Chwila dzisiejsza brzemienna jest jeśli nie w olbrzymie następstwa, to przynajmniej w doświadczenia bardzo doniosłe.

— Więc nic z tego nie będzie! — zapewnia *Światło* poufnie — „Wzniosłe marzenie, aby żydowskich kramarzy i rzemieślników" zastąpić mogło kupiectwo krajowe lub kooperatywa — to utopja, śmieszna utopja!

— Wy się wcale nie potrzebujecie bać tej „pracy organicznej". Co wam zrobi „ta stara znajoma, której właściwy rodzic, wzniosłej pamięci Jan Jeleński już dawno spoczywa w grobie?" Nic wam nie zrobi. Idźcie więc i sprzedawajcie dalej cynamon, wódkę (?) i perkaliki...

Na co idą polskie pieniądze.

Nasi przedstawiciele rodów historycznych i posiadacze fortun magnackich obchodzą się z groszem bardzo powściągliwie, czyniąc jedynie wyjątek dla zagranicznych domów gry, gdzie troska o świetność imienia polskiego nakazuje im stawiać na kartę odrazu po kilka miljonów koron.

Natomiast w ojczyźnie swej, na polu ofiarności obywatelskiej zajmują miejsce ostatnie, dając się chętnie wyprzedzić rodom kupiecko-przemysłowym, często obcego pochodzenia — Roesslerom, Meyerom, Bohle'om i t. d. Więc też gdy jaki możny „karmazyn" złoży datek na cele publiczne — opinja własnym oczom nie wierzy i ze zdumienia wpada w szał wyuzdanego zachwytu.

Coprawda, wypadki tego rodzaju zdarzają się niezmiernie rzadko; kronika ostatnich kilku lat notowała je zaledwie dwa, trzy razy.

Tymbardziej odbija od tej wstrzemięźliwości szczególne upodobanie naszych lordów do zasilania polskimi pieniędzmi obcych, dziesięćkroć bogatszych społeczeństw.

W arystokracji wielu podobno rodzi się oryginałów i dziwaków, co lubią naprzekór innym niezwykłe sobie poczynać; takim oryginałem jest zapewne książę Józef Lubomirski, wielki miłośnik francuskich powieści kryminalnych; gryzł się on niepomiernie szybkim ostatnimi czasy uwiądem tej całej sympatycznej gałęzi piśmiennictwa, a jako pan szczodry i wspaniały zasilił belletrystów francuskich funduszem 25,000 fr. w celu podniesienia poziomu owych *romans d'aventures*.

Zachęcony tym pięknym i mądrym czynem inny oryginał, hrabia Adam Orłowski, ten sam, co krzewi unję wszechsłowiańską pod władzą Rosji i pod berłem Rzymu — postanowił przyjść z pomocą francuskiej awjatyce wojskowej i złożył 15,000 fr na kupno nowych samolotów, czym podobno strapiony cesarz Wilhelm miał się wyrazić:

— Widać, że Polacy mają jeszcze dużo pieniędzy!

Na co jeden z obecnych dygnitarzy odparł z ukłonem:

— Myli się Wasza Cesarska Mość! Oni ich mają tak mało, że nie wiedzą, co z nimi robić!...

Kryzys górniczy przerzucił się z Anglji na kontynent, ogarnie być może kolejno wszystkie lądy, na całym globie spowoduje wstrząs gospodarczy. I w każdym państwie inny będzie przebieg i wynik tego przesilenia, zależnie od stopnia demokratycznej dojrzałości mas i sposobu interwencji czynników rządzących.

Orion.

Socjologiczno-polityczne poglądy Hugona Kołłątaja.

Politycy realni nie przyzwyczaili nas, aby programy ich traktować jako wynik filozoficznego myślenia. Między teorją a nawet najdalej w przyszłość patrzącą polityką czynną, widzimy przeciwieństwo częściej, niż logiczne następstwo. Z pewnym przeto niedowierzaniem przystępujemy do prac historyczno-filozoficznych Kołłątaja, nie oczekując aby te prace wyjaśnić nam mogły narodziny reform w intelekcie tego najrealniejszego z polityków naszych z doby reformy. Utwierdza nas o tem jeszcze fakt chronologicznego ich następstwa, ponieważ te prace napisane zostały już po r. 1794 w okresie więzienia austrjackiego i tego przymusowego odsunięcia od bezpośredniego wpływu na sprawy polityczne, jakiemu Kołłątaj poddać się musiał po powrocie do kraju (od 1802 r.).

Tymczasem teorje o społeczeństwie, państwie, prawie, o zadaniach i roli historji dla ustroju społecznego, których nie wahalam się nazwać socjologiczno-politycznymi, przewodniczą Kołłątajowi już w okresie jego pracy reformatorskiej w dziedzinie szkolnictwa, oraz przy działalności politycznej. Teorje te wynikają z nauki o prawie natury, którem zajmuje się już w pierwszym okresie swej działalności przed 1786 r. Przy reformie uniwersytetu Jagiellońskiego wprowadza on fakultet nauk moralnych, to samo czyni, kreśląc program nauk akademji wileńskiej w 1804 r. dla Tadeusza Czackiego. Na fakultecie tym głównym przedmiotem było prawo natury.

Pozytywny umysł Kołłątaja zarówno w wychowaniu młodzieży, jak i w ustroju państwa, pragnie się oprzeć na realnej przyrodniczej podstawie, bo ta mu się wydaje niezachwianą. Istniejącemu chaosowi stosunków politycznych i społecznych, chce on przeciwstawić trwałą budowę i oprzeć ją na poglądach młodego pokolenia, które żyć miało w ojczyźnie zreformowanej i odrodzonej i dalej pracę reformatorów prowadzić.

Za podstawę uważa przeto naukę moralną, to zn. etykę świecką, która w Europie uniezależnia się od filozofji i religji już w wieku XVII.

W mowie z dn. 28/VI 1791 r. zaleca naukę moralną, na której zależy charakter obywateli, która państwo od państwa, lud od ludu różni, która sprawuje na zawsze wieczystą narodów trwałość, ich obyczajów niezłomność, ich do ojczyzny nieodmienne przywiązanie, bo przez edukację przechodzi w krew obywateli.

Prawo natury służy Kołłątajowi za podstawę filozoficzną dzieł takich jak: *Rozbiór krytyczny zasad historji o początkach rodu ludzkiego*, *Porządek fizyczno moralny*, a wreszcie nie wydany dotąd rękopis o *konstytucji* [1]). Świadczą one o dużej erudycji autora, który zna dzieła Buffona, powołuje się na Hugona Grotiusa, Cumberlanda, Christiana Wolffa, Antonia Genovesi, zwłaszcza na Quesnaya, którego chce być kontynuatorem. Rozumowanie Kołłątaja zwłaszcza w „Porządku f. m." jest ścisłe, układ prac systematyczny, poglądy zdradzają przynależność do całej grupy filozofów europejskich, którzy od czasu Bacona poświęcali się filozofji praktycznej i hołdowali kierunkowi empirycznemu.

[1]) O konstytucji w ogólności i w szczególności, czyli nauka prawa publiczego ogólnego i szczególnego przystosowana do konstytucji księstwa warszawskiego. Rękopis w akad. um. w Krakowie. Str. 179.

Do czego służą polskie głosy.

Wbrew powszechnemu mniemaniu posłowie nasi nad Newą bynajmniej nie samych tylko porażek doznają, lecz owszem toczą i walki zwycięskie, decydując swoimi głosami o losach niejednego projektu.

Świeże właśnie laury zdobyło wstępnym bojem gremjum posłów polskich w Radzie Państwa, obaliwszy swymi głosami w *plenum* bardzo niebezpieczny i szkodliwy dla się projekt prawa, uchwalonego już w Dumie i przyjętego przychylnie w komisji Izby Wyższej.

— Brawo! — krzyknie w tym miejscu każdy Polak, spragniony, jak kania dżdżu, lepszej po tylu klęskach nowiny.

— Nareszcie i nam się dobra zdarzyła pora! Niebezpieczny i szkodliwy wniosek obalono polskimi głosami! Cieszmy się, bracia mili! *Evoe!*

Nikt się jakoś nie cieszy.. Grono zwycięskich naszych „lordów" nie kwapi się wcale z opowieścią o pięknym swym czynie. Czyżby nadmierna skromność?

A co znaczy to kłopotliwe milczenie prasy? Czyżby?...

No, tak. Powiedzmy szczerze: w Radzie Państwa odniesiono polskimi głosami tryumf bardzo niechlubny.

Oto jak się rzecz miała.

Istnieje w Rosji dziwaczne z czasów „domostroja" prawo spadkowe, przyznające córkom tylko 14-ą część majątku nieruchomego i 7-ą ruchomego — o ile wśród sukcesorów są synowie.

Krzyczący ten anachronizm raził nawet nieczułe uszy październikowców w III-ej Dumie, gdzie wszak rej wodzą ziemiańskie żubry na równi z ciemnym i zacofanym klerem. Po krótkich debatach uchwalono skasować owe szczątki; w obecnych warunkach rezolucja Dumy miała niezwykłe, ogromne znaczenie, jako pierwszy akt kompromisu z duchem czasu.

Opinja rosyjska śledziła losy tej „uchwały" z wielką uwagą. W komisji Rady Państwa projekt został przyjęty przychylnie, w *plenum* zdawał się mieć szanse pewne, zwłaszcza, że miał po swej stronie tak znakomitych rzeczników, jak pp. Kowalewskij i Koni.

Opozycja zatwardziałych wsteczników ze skrajnej prawicy nie zdawała się groźna.. Lecz, w trakcie głosowania, stała się rzecz dziwna, niespodziewana. Oto posłowie polscy, jak jeden mąż, podali odsiecz odosobnionym „żubrom" z prawicy i swymi głosami projekt pogrzebali.

Wprawdzie zdołano coś niecoś z niego ocalić dzięki różnym „poprawkom", naogół jednak co do własności ziemskiej (a o nią chodziło) obowiązywać będzie nadal „domostroj" — dzięki sprężystej akcji naszych posłów.

Za punkt wyjścia uważa Kołłątaj jednolitość przyrody. „W przyrodzeniu, powiada, jednego tylko gatunku są prawa, a rozróżniamy je dlatego, że dostrzegamy je raz w fizycznym, drugi raz w moralnym stosunku". Umiejętności moralne wyprowadzać należy z historji, która dla nich jest tym samym, czym historja naturalna dla fizycznych. O ile umiejętności moralne „nie są wydobyte z ogólnej sumy działań ludzkich, są owocem fałszywych przypuszczeń, czczych i odosobnionych maxym i szkodliwych błędów. Przykłady i prawdy, wyciągane z dziejów, stanowić mogą zasady prawa przyrodzonego, a zatym prawa natury.

Kołłątaj włącza człowieka do jestestw organicznych i doszukuje się wspólnych całemu organicznemu światu praw. W poszukiwania metafizyczne nad początkiem człowieka i świata Kołłątaj się nie wdaje. Stwierdziwszy powszechną przyczynowość zjawisk, mówi, że przyrodzenie jest najpierwszą ich przyczyną, podsuwając dowolną jej przyczyny interpretację.

Pod nazwą przyrodzenia, powiada, „każdy sobie wyobrazić powinien Istność najwyższą, pojętność nieskończoną, opatrzność powszechną, Boga mówię..." Kołłątaj zbyt jest ostrożnym, aby wyraźnie wykluczać tu pojęcie Boga, ale odradza od badań nad jego istnością. „Doszedłszy do odkrycia tej najważniejszej prawdy, rozum ludzki stać się powinien bardziej jej dziwicielem, niż badaczem w dociekaniu jej istoty, bo zbytnie szperanie pospolicie odprowadza nas od tego, cośmy z wielką jasnością pojęli i wiedzie na drogę niezliczonych obłąkań. Inna albowiem rzecz poznać tę przyczynę przez niezliczone jej skutki, a inna pochlebiać sobie, że jej istotę tak jasno poznać zdołamy, jak znamy skutki". Kołłątaj ma odwagę wyznać swą niewiadomość w tym kierunku i zachęca innych, aby postępowali podobnie i trzymali się faktów doświadczenia, przyczym rozpocząć powinni od rzeczy znanych. Celem dociekań jest przeto nie istota rzeczy, ale raczej wykrycie praw, rządzących rozwojem społeczeństwa i świata. Temu celowi poświęcone są zarówno rozprawy, stanowiące razem dzieło „Rozbiór krytyczny", jak i „Porządek f. m." Prawa w świecie fizycznym i moralnym są jednakowe.

Ale tu powstaje zagadnienie wolnej woli i pogodzenia jej z determinizmem. Tłómaczy przeto, że prawa moralne stanowią niezbędne prawidła postępowania człowieka, że określają jego prawa i obowiązki, jak się wyraża Kołłątaj: *należytości* i *powinności*, jedne zaś i drugie ograniczone są prawami fizycznymi, jakim podlega człowiek i jego otoczenie. Udział woli polega tu na tym, „że nie możemy własną władzą zrobić, czegobyśmy wprzód nie chcieli, na co byśmy nie zezwolili". Decyzja jest pozostawioną człowiekowi, ale o ile odbiegnie on od praw moralnych, które mu drogę wskazują, musi za to pokutować, naraża na cierpienia siebie i innych.

(D. n.) *Dr. Z. Daszyńska-Golińska.*

Wskrzeszony Autorytet.

Rozkołysane fale sporów politycznych i społecznych coraz częściej, w dobie ostatniej, odrzucają, niby gromkie echo, na szeroki brzeg ciekawości publicznej, imię — Proudhona.

Idee tego, zgasłego przed półwiekiem, reformatora przeżywają obecnie wtóry okres powodzenia i rozgłosu. Jego książki, z antykwarskiego pyłu otrząśnięte, porwane zostały na nowo w wir życia.

La justice dans la Révolution et dans l'Eglise (Sprawiedliwość w Rewolucji a w Kościele), Les contradictions économiques (Sprzeczności ekonomiczne), La guerre et la Paix (Wojna i pokój), zwłaszcza zaś Capacité politique des classes ouvrières (Zdolność polityczna klas robotniczych)

Cóż dziwnego więc, że nie kwapią się oni rozgłaszać o tym tryumfie, cóż dziwnego, że prasa milczy kłopotliwie, choć tu i owdzie usłużny skryba w piśmie „konserwatywnym" wykonał parę niepewnych ruchów, mających usprawiedliwić to dziwne głosowanie z punktu widzenia polskiej oczywiście, lecz bardzo „realnej" polityki... Próby te wypadły dość nieudolnie i dano im wkrótce pokój. Sprawę pokryło milczenie.

A szlachetni lordowie z niezmąconym spokojem zasiedli znów w pięknej sali Pałacu Maryjskiego, gotowi przy pierwszej następnej okazji równie sprężyście i mężnie zwalczać szkodliwe dla się projekty.

I zapewne znów ujdzie im to bezkarnie.

Bo i któż podniesie u nas rozgłośny i skuteczny protest? Kto krzyknie im w twarz, że oni, przedstawiciele narodu uciśnionego, plugawią jego piękne tradycje wolnościowe i deprecjują cenne polskie głosy, których tam użyto gwoli czysto prywatnej rachuby. Wolno zresztą naszym feodałom i żubrom staroszlacheckim krzywdzić, okradać, wyzuwać z majątku własne swe siostry i córki, ale gdy to się robi imieniem Polski, w obronie polskich rzekomo interesów i polskimi głosami — jest to — powiedzmy otwarcie — hańbą.

Co robią księża polscy w Ameryce.

„Ani Paweł Feval ani też Ksawery Montepin w swych pomysłach nie zawstydziliby rzeczywistości, z jaką my mieliśmy do czynienia tutaj w Stanach Zjednoczonych na tle walki duchowieństwa z własnymi parafjami".

Te słowa widnieją w artykule wstępnym polsko-amerykańskiej gazety *Młotek Duchowny* (Utica, New York) gdzie pod nagłówkiem „My albo Wy" zatarg ludu naszego ze swymi duszpasterzami na wychodźtwie rysuje się jaskrawo.

Klerykaliści i księża na zjeździe w Detroit powzięli właśnie szereg uchwał, które mają znieść jakoby ze szczętem krnąbrny, wolnomyślny Związek Narodowy z jego bardzo popularną prasą postępową.

Czym zawinił Związek?

A oto: „prasa postępowa baczyła, aby ludowi wychodźczemu nie działa się krzywda, i nie ustawała w pracy, nawołując księży, by w duchu potrzeb narodu szli i byli w służbie dobru tego ludu, który ich utrzymuje. A to się nie podobało"...

I *Młotek* w świetle dosadnej, iście amerykańskiej werwy stawia długi szereg wybitnych duszpasterzy, w mało budujących zaiste pozach, z czego kilka podajemy próbek:

Ks. Morys wyprawia awantury kwiatowi młodzieży polskiej, Sokołom w R. I. — prasa narodowa

czytane są i pochłaniane we Francji z taką samą gorączką, z jaką czytano je niegdyś: czytane są niecierpliwie, chwytane porywczo, tak niemal, jak chwyta za oręż zapalczywy zapaśnik, zbrojący się do walki.

Wistocie, dzieła Proudhona, zwarte razem, tworzą nie tylko pokaźną bibljotekę, one stanowią arsenał.

Że idee nabiegać mogą krwią namiętności i nad głowami walczących powiewać, jak sztandary, — to wiemy z przykładu Rousseau'a i Voltaire'a, że tętnią odgromem mających nastąpić kataklizmów społecznych, — poucza nas doktryna Marksa. Osobliwością atoli arsenału ideowego Proudhona jest to, że po oręż doń przychodzą szermierze z pod znaku rozmaitych obozów, niekiedy wprost wrogich względem siebie, i — wszyscy w nim broń pożądaną dla siebie znajdują.

Oto zwolennicy reform postępowych ogłaszają Proudhona za wyobraziciela swej polityki; wydzierają sławę jego socjalistom i używają jej za tarczę przeciwko Marksowi. Socjaliści, oczywiście, protestują przeciwko tej uzurpacji i stawią Proudhana w rzędzie swych najznamienitszych mężów. Czyż bo nie on to cisnął pamiętny historycznie okrzyk: Własność to — złodziejstwo! — w tym jednym pocisku streszczając całą krytykę kapitalizmu?

Ale jakby na urągowisko socjalistom, obrońcy drobnej własności roszczą również żadania do puścizny naukowej Proudhona: ten ostatni, wedle nich, był stanowczym przeciwnikiem kolektywizmu; nikt nie był nadeń żarliwszym apostołem świętości domowego zacisza i ogniska rodzinnego. Powołują się oni na hymn wyśpiewany przezeń na cześć udzielnej, samostarczalnej zagrody wiejskiej, jako na ostatnie słowo jego testamentu[1])

Zaś wszystkim grupom przeciwstawiają się teoretycy syndykalizmu rewulucyjnego, głosiciele idei odrodzenia społeczeństw współczesnych przez gwałty, zaprzeczając wszystkim obozom praw do uczestniczenia w kulcie Proudhona, siebie wyłącznie mianują dziedzicami i wykonawcami jego myśli.

Broszura o „Zdolności politycznej klas robotniczych" stała się ewangelją bojową syndykalistów. W niej czytają oni, że pierwszym obowiązkiem wyzyskiwanych wytwórców jest zawiązanie osobnej organizacji, o duszy odrębnej i własnej, by stawić czoło potędze mieszczaństwa; czczą oni w Proudhonie wynalazcę jedynej filozofji, mogącej dać oparcie ludziom czynu, zrzeszonym w Konfederacji powszechnej Pracy[2]):

Ale łańcuch sprzeczności na tym się nie kończy. Nowe w nim ogniwa tworzą poglądy socjalistów typu Guesde'a, którzy, jakoby celem przeciwwagi wobec zachwytów Sorela, obarczają Proudhona pogardą, widząc w nim „wzór drobnego mieszczanina" i niezaprzeczonego konserwatystę[3]). Co gorsza! Ów konserwatysta, wedle ich zdania, przedzierzgał się niekiedy poprostu w reakcjonistę. Czyż nie przeciwstawiał się on swego czasu prądom demokracji? Niewątpliwie, z tego względu, zaliczyć go wypadnie do jednego z mistrzów kontrrewolucji. Wszak twierdzą niektórzy, że w pewnej redakcji rojalistycznego dziennika zawieszono istotnie na miejscu zaszczytnym, między wizerunkiem papieża a portretem monarchy — podobiznę autora „Sprawiedliwości". [4])

Cóż za spiętrzenie oszałamiających kontrastów! Odliczywszy nawet cząstkę jaskrawości na karb nieuniknionej przesady w podkreślaniu odrębności swych stanowisk przez rozmaite obozy, nie możemy się oprzeć zdumieniu wobec wielorakości

[1]) Sabatier: „Le socialisme libéral, ou morcellisme" Paris, 1905.

[2]) G. Sorel: „Réflexions sur la violence," Paris, 1909.

[3]) Rappaport: „P. J. Proudhon et le socialisme scientifique". Paris, 1909.

[4]) Szczegół ten podaje Guy-Grand w dziele: „Procès de la democratie".

---

pozwala sobie na zapytanie się ks. Morysa, czy uważa to za konieczne.

Ks. Piotrowski jest przyczyną skandali jakich mało w Cleveland Ohio: nasyła parafjanom utrzymującym go swoją krwawicą „pałkarzy" — *Młotek* nie pochwala tego, boć i trudno to chwalić było.

Ks. Ignasiak zaprzepaszcza krwawicę ludu polskiego i oddaje szkołę Irlandczykom i Niemcom; my uważamy za stosowne zwrócić ks. Ignasiakowi uwagę, że tego człowiek rozumiejący swój obowiązek czynić nie powinien.

W „Zjednoczeniu" ulatnia się mała sumka (??) pieniędzy, coś około 91,000 — *Młotek* stwierdza, że teraz trudno już chyba wierzyć komukolwiek, bo i w organizacjach, w których rej wodzą księża—giną pieniądze.

Ks. Biskup Rhode nazywa tą najpospolitszą kradzież wdowiego grosza „niedoborem" — *Młotek* śmieje się z niego i zapytuje jaką by sumę ukraść potrzeba, aby ks biskup nazwał to po imieniu.

Ks. Płaza z N. Y. Mills bezlitośnie naciąga parafję na kilkanaście setek dolarów i czmycha nocą jak złodziej, nie uwiadomiwszy nikogo — *Młotek* kuje ks. Płazę i jego sąsiada, twierdząc, że takich rzeczy czynić się nie godzi.

Ks. Mard z Rome, N. Y. jest przyczyną zamieszek w parafji, której przodować winien — *Młotek* go prosi, aby przestał być duszpaskudziarzem, a był duszpasterzem.

Inny członek czarnej międzynarodówki obija w wielki piątek swoją gospodynię do krwi i zatyka jej usta setką dolarów, ściągniętych z najbiedniejszych parafjan pod groźbą piekielnych kar — *Młotek* twierdzi, że nie powinno się obijać ludzi i starać się, aby o tym milczano.

Ks Wilk z ambony rzuca oszczerstwa na zacne matki-Polki—obywatelka z Krzyżan (cześć jej za to) aresztuje księdza, który nie umie być przewodnikiem parafji.

A pobożna część prasy milczała i milczy. Patrzyła przecie na wybryki księdza Szadzińskiego, wiedziała o tym dobrze, że ks. Gmieliński był aresztowany za dokonanie kryminalnej operacji na dziewczynie, nie umiała czy nie chciała ta inteligiencja zganić ks. Tuska z Milvale, Pa za użycie rewolweru przeciwko swym parafjanom.

Kiedy ks. Garstka postrzelił ob. Kijańskiego w Glasport, Pa, a ks. Kamiński uwiódł żonę obywatela Józefa Judyckiego „mądrzy opiekunowie" ludu wychodźczego milczeli, a kto wie, czy cichaczem nie przyklasnęli księdzu Kurzejce z Manascha, Wis., kiedy ten „bogobojny kapłan" odniósł „walne zwycięztwo" i na głowę pobił parafjan w kościele.

O tym wszystkim — woła *Młotek* — myśmy pisali i będziemy pisać. Ksiądz, sprawujący swe funkcje znośnie, nie dostanie się na szpalty *Młotka*; którego piętnujemy, znamy jego przeszłość

barw, na które duch Proudhona rozszczepił się w przekonaniu — potomnych.

Kilka naraz kościołów politycznych obwołuje go za proroka i za patrona, kościołów wyklinających się nawzajem, nie chcących mieć nic ze sobą wspólnego.

Jakaż rozległa ironja (tak ironizować nie umiał nawet Heine; tak ironizować potrafi tylko życie) tkwi w fakcie, iż owe przeciwne sobie obozy, tak zazdrośnie przestrzegające swych granic, tak czujnie baczące na niepokalaność swych godeł, spotykają się we wspólnym kulcie przed pomnikiem tego samego człowieka, w którym, nadomiar, każdy ze swej strony widzi i czci uosobienie odporności własnej doktryny przeciwko doktrynom pozostałym.

Słysząc okrzyki na cześć Proudhana, wierzymy że istotnie zmartwychwstał.

Atoli słysząc je w różnych naraz stronach, uwierzyć także musimy, że zmartwychwstał on w wielu osobach.

(C. d. n.) *St. Romanowski.*

W zaborze pruskim.

Po wyborach. Polacy w nowym parlamencie.

Jak zwykle po skończonej walce wyborczej, poszczególne stronnictwa załatwiają między sobą porachunki osobiste, starając się zwalić winę porażki na błędy, omyłki czy wreszcie złą wolę tych czy innych przywódców. Konserwatyści winią narodowych demokratów o spowodowanie klęski śląskiej, narodowi demokraci odsądzają od czci i wiary konserwatystów za „secesję“ w okręgu krotoszyńsko-koźmińskim i leszczyńsko-wschowskim. Ale i jedni i drudzy przeoczyli główną przyczynę odwrócenia się wyborców polskich od kandydatów „Koła“. Na brak wszelkiej pracy organizacyjnej i uświadamiającej wśród mas, a przedewszystkim na wrogą dla tych mas politykę ekonomiczną „Koła Polskiego“ nikt poza socjalistami nie wskazuje. Tymczasem zapoznawanie w dalszym ciągu tych podstawowych przyczyn zmniejszenia się głosów polskich, oddanych na kandydatów „Koła“, musi prowadzić to ostatnie do nowych klęsk.

Obecnie uwaga całego społeczeństwa w zaborze pruskim zwraca się ku parlamentowi Rzeszy, gdzie sytuacja jest obecnie bardzo naprężona. Skutkiem zwycięstwa socjalistów została tam zachwiana równowaga dotychczasowa i rząd — o ile nie zdecyduje się na rozwiązanie parlamentu — musi dążyć do utworzenia nowej, odmiennej od dotychczasowej, większości. Czy w obliczeniach tych myślano o „Kole polskim“, nikt nie wie, ale wśród konserwatystów poznańskich nie brak żywiołów, które z natarczywością rwą się do zaofiarowania swych usług rządowi. „Balonem próbnym“ w tym kierunku był artykuł jakiegoś „obywatela“ — artykuł, który narobił dużo hałasu w prasie i wywołał całą powódź odpowiedzi, protestów, głosów, solidaryzujących się z nim, lub potępiających go sposób mniej lub bardziej ostry.

Ów „obywatel“ (a pod tym pseudonimem ma się ukrywać, jak zapewnia *Dziennik Poznański*, znany patrjota) przyszedł do przekonania, że stanowisko opozycyjne Polaków na nic się nie przyda, bo Polacy są zbyt słabi wobec rządu. Należy tedy zerwać z wszelką opozycyjnością i wejść na drogę bezwzględnego lojalizmu. Polacy powinni wyrzec się wszelkiej myśli o polityce „do, ut des“, o polityce popierania rządu wzamian za pewne ustępstwa. Politykę taką mogą bowiem uprawiać tylko państwa, rozporządzające miljonami bagnetów, jak to było z Anglją, pertraktującą o Marokko. Polacy natomiast muszą zdać się na łaskę Prus, spełniać gorliwie swe obowiązki i tą drogą stopniowo, powoli zasłużyć na zaufanie rządu. Gdy się to stanie, wówczas zaświta im i w Prusach „nowa era“. Państwo, przekonawszy się o lojalności Polaków, zapewni im swobodę rozwoju narodowego — i Polacy w zaborze pruskim zajmą toż samo stanowisko, co w Galicji. Taki jest mniej więcej tok myśli „obywatela“, który w swym niemowlęctwie politycznym zdobył się na porównanie współczesnych Prus z wielonarodową Austrją z r. 1866-go.

Artykuł tak bezgranicznie naiwny, odzwierciadlający z jednej strony pokorę niewolnika, a z drugiej bezwzględność krańcową, nie idzie do kosza, ale figuruje na miejscu naczelnym w pi-

---

i wiele spraw puszczamy płazem nim się zdecydujemy brać nikczemnika pod *Młot*.

Czy dość tej winy (???) naszej?.. A teraz pytamy: Jeżeli prasa nie ma prawa przyświecać w mroku naszego życia duchowego, to któż je ma? Gdy pisaliśmy o tych „przykładnych kapłanach“ na wychodźtwie, gdy wskazywaliśmy od samego początku na ten upadek i przestrzegaliśmy kler polski, aby nie odbierał ludowi wychodźczemu tej reszty wiary, którą zachował, zagłuszono nas oszczerstwami i tym silniej, tym wydatniej poczęto pracować nad tym, aby do ludu nigdy nie przedostała się prawda i jasność.

Co nas najwięcej zajmuje?

Sądząc z obfitych i ścisłych „odpowiedzi od Redakcji“ w *Kurjerze Warszawskim*, przeciętny czytelnik tego pisma interesuje się przedewszystkim... herbem, własnym, lub cudzym, bez różnicy. A więc, jednego tylko dnia, musiał informator ukoić niecierpliwą ciekawość aż jedynastu rdzennych Lechitów. Wyjaśnił więc „długoletniej prenumeratorce“ że rodzina S. wyszła ze wsi Sudragi i pieczętuje się herbem *Gozdawa*.

„Prenumeratowi z Leszna“ obwieścił żałobnie, że rodzina Ch... nigdy tytułu hrabiowskiego nie używała. „Prenumerator z Leszna“ zapewne nie uwierzy. „Agrypinie“ wyznał poufnie, że rodziny K... spisy szlachty polskiej nie znają. Agrypina musiała to pewnie odchorować. „Młody heraldyk“ dowiedział się z kolei, że herb Kolumna powstał późno, wyłoniwszy się z herbu Roch, czyli Pierzchała.

Młody heraldyk wie już, czego się ma trzymać w życiu. „Panu A. Henry“ wyłuszczono, że „rodziny o takim nazwisku w Polsce nie było“. Co pocznie teraz pan A. Henry?

„Czytelnik z Drezna“ zmartwi się niewątpliwie, skoro się dowie, że rodzina Kam. herbu *Dołęga*.. nie wydała ani jednego senatora, urzędy ziemskie również piastowała skąpo.

„Dąbrowczyk“ wchłonie wieść radosną, że rodzina Gard... rzeczywiście pieczętuje się herbem *Dąbrowa*, a „Ciekawy“ ochłonie z gorączki skoro przekonany został niezbicie, że rodzina Poz... istnieje i pieczętuje się herbem *Pobóg*... i t. d.

śmie, chcącym być wyrazicielem opinji „całego społeczeństwa". To najlepiej charakteryzuje poziom rozwoju politycznego inteligencji poznańskiej. Nikt oczywiście nie może żądać od junkrów poznańskich, różniących się tylko językiem od „żubrów" pomorskich, aby się imali taktyki rewolucyjnej. Nikt nie będzie chciał podejrzewać ich o jakieś nieprzejednanie. Ale nawet najskrajniejsi ugodowcy gdzieindziej potrafiliby przecie nie padać plackiem i nie czołgać się na brzuchu wobec wroga, który właśnie obecnie może potrzebować ich usług i rzeczywiście gotów jest nie odpychać ich ofert.

Bez względu na to, czy rząd zechce wejść w porozumienie z ugodowcami, sytuacja w parlamencie układa się w ten sposób, że jedno z najhaniebniejszych praw antypolskich, owo „prawo kagańcowe", zakazujące przemawiania po polsku na zebraniach publicznych tam, gdzie Polacy nie stanowią 60% ludności, może być obalone. Zostało ono uchwalone w r. 1908 jedynie wskutek porażki socjalistów przy wyborach. Dziś — po zwycięstwie socjalistów — wniosek, domagający się zmienienia „prawa kagańcowego", ma zapewnioną większość wobec tego, że będą za nim głosowali socjaliści i centrowcy. Podobno ci ostatni przygotowują wniosek w tym kierunku. Uchwalenie go byłoby dość poważną zdobyczą dla ludności polskiej.

Tu podnieść należy, że właściwie żadne wnioski o charakterze germanizatorskim nie mają żadnych szans powodzenia przy obecnym składzie parlamentu Rzeszy. Niestety, kuźnią ustaw antypolskich jest sejm pruski, w którym socjaliści i wogóle postępowcy stanowią garść znikomą wskutek antydemokratycznego systemu wyborów sejmowych. I właśnie w sejmie pruskim ma byś niebawem wniesiony projekt nowej ustawy, niezmiernie utrudniającej parcelację polską. Losy tej ustawy będą najlepszym sprawdzianem w kwestji „zmiany kursu polskiego", o którym od dłuższego czasu piszą i nasi ugodowcy i hakatyści niemieccy.

Obserwator.

BADANIA NAUKOWE.

Korespondencja św. Ignacego Loyoli.

(Ciąg dalszy).

Jezuickie posłuszeństwo jest nietylko cnotą najwyższą, ono ma także nadzwyczajne zalety, że tak powiem, dyplomatyczne: — ono pozwala zawsze i wszędzie w czasie napaści powiedzieć z kornie złożonymi rękami — to nie ja, ja nic nie wiem, jam jest tylko powolny sługa w ręku przełożonych. Klasycznym takiego postępowania przykładem, wzorem do naśladowania jezuitom podanym, jest fakt następujący:

Do roku 1549 — opowiada jezuita M. Bouix—ani jeden członek Towarzystwa Jezusowego nie był powołany do Niemiec w celu założenia tam kolegjum lub stałego objęcia katedry profesorskiej. Dopiero w tym roku Wilhelm, książę bawarski, pierwszy ze wszystkich książąt niemieckich, zwrócił się do papieża, Pawła III. z prośbą o przysłanie mu dwuch profesorów teologji. Papież polecił zakomunikować to św. Ignacemu, który odpowiedział, że dopiero wówczas dostarczy profesorów Bawarji, gdy państwo to postanowi założyć u siebie stałe kolegjum jezuickie, na wzór założonych w Portugalji. Zaczęły się targi i pertraktacje, w których rezultacie św. Ignacy polecił dwom ze swoich udać się do Bawarji. Jezuici rozpoczęli i prowadzili wykłady teologji: a tym czasem Zakon czynił dalsze zabiegi, aby skłonić dwór bawarski do założenia kolegjum. Księciu jednak nie pilno było zakładać kolegjum, wobec tego św. Ignacy poodwoływał swoich profesorów, a na odnośne zapytania księcia i biskupa Eichstadtu odpowiedział, że *papież* mu tak czynić *rozkazał*, ponieważ tylko pod warunkiem założenia kolegjum, *papież* zgodził się na wysłanie teologów do Bawarji; on zaś św. Ignacy nic w tej sprawie nie może, gdyż jest tylko pokornym wykonawcą rozkazów Jego Świątobliwości [1]).

[1]) Mon. Ign Ep. 1286, 1303, 1592.

Miał rację nieboszczyk Ślaz wołając z oburzeniem: „Czy ja Lechita? Cóż to? Czy mi patrzy z oczu obżarstwo, lenistwo, siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku, do kwaszonych ogórków, do *herbów?*"

Meandry.

8.

Oto-ć *principium* polski snobie — ludu:
Sankiulot ty wśród wieszczów twych Walhalli,
Pluń w Króle-duchy (czy się z nich grosz ma li?)
Dla chwały miter nie szczędź trudu, brudu,
Dąż pod mym hasłem: „rublu, how do you do!"
Wtedy *czymś* będziesz (jak ja) — — Pojmowali?

9.

Ty zaś, co jednak plon chcesz żąć z literackiej niwy
O bracie, żyj o wszystkiem nie mając pojęcia o niczem.
Kopuluj gwoli rymom Beatrice z Nietzsche'm
Krzyżuj Gogh'a z Gauguin'em, pchaj *izmy* na *iwy*,
Dla swej twórczej imperatywy szarż miej lewatywy
Niech Brockhaus z Larousse'm będzie z tobą i czem
Więcej bez związku sklecisz, będzie-ć łatwiej w geście
O tak: *Cervantes... Radamantes. Honolulu... Nazon..*
Niech *Jazon, ozon, gazon*, brzmią ci w diapazon,
Miech ci sens kwiczy w rytmie jak kiernoz w agreście,
Spyszcz trąbą jamby, trochej stytłaj w anapeście.
I tym stylem będziesz (jak ja) Tilem vel Tylem. A bazą

Będzie ci hasło: „Głupi! o sobie dobrze mów" — czyli
Filjacja nadoportunizmu panrealistyczna.
Nie rozumiesz? To nic. Ja też nie. Lecz strona faktyczna
Tego mego kierunku tkwi w tym, byśmy byli
Cyganerją w Krakowie a w Warszawie tyli
Na polityce Fryców. Oto jest wytyczna.

10.

Każdy dla się coś lepi, jak umie najlepiej.
Acz napróżno się wtykał Styka do Rondelu
Szymanowski *Pochodem* prze dziś do Wawelu.
Druhy pieją: „Lać w bronzie! cud!!" — A wróg: „Czyście [ślepi?
Z tym na Wawel? Intrygo i bluff!" — „Co się pan czepi?
Te *rzeczy* nawet gorzej umie robić wielu".

(C. — C.)

Widzieliśmy przykład działania za plecami papieża i przez niego, powiadając się jednocześnie tylko wiecznym wykonawcą papieskich rozkazów; spojrzyjmy teraz na instrukcje dawane spowiednikom królewskim.

Jezuici Jakób Miron i Ludwik Gonzales wahali się, czy przyjąć godność spowiedników królewskich przy dworze portugalskim. Św. Ignacy w liście datowanym z d. 1-2—1553 [3]) namawia ich do przyjęcia tego ważnego urzędu i powiada, że członkowie Towarzystwa bynajmniej od takich obowiązków uchylać się nie mają prawa. Grzechy królewskie przez szczególnie mądrych spowiedników winny być rozpatrywane, bo tą drogą duży wpływ na króla mieć można i skłonić go do nie jednego ważnego dla Kościoła aktu. Ot np. teraz na porządku dziennym jest sprawa biskupstwa Etjopskiego, którą Miron i Gonzales przez konfesjonał królewski poprzeć mogą i powinni. O podnoszeniu ducha królewskiego, o moralnym, uszlachetniającym wpływie na niego, niema w tym liście, jak zresztą nigdzie u św. Ignacego, ani jednego słowa: głównym i bodaj jedynym zadaniem spowiednika królewskiego jest takie opanowanie króla, aby czynił to, czego Towarzystwo Jezusowe od niego zażąda.

Jak św. Ignacy zwykł był postępować z pokonanymi wrogami widać z faktu następującego:

Dominikanie hiszpańscy zawzięcie walczyli z Jezuitami. Udało im się zjednać na swoją stronę don Martineza Siliceo, kardynała arcybiskupa toledańskiego, który pod karą ekskomuniki zakazał wiernym spowiedzi u jezuitów, a na kolegjum jezuickim położył interdykt. Wywiązała się długa i zacięta walka, w której jezuici odnieśli świetne zwycięztwo: arcybiskupa zmuszono do odwołania wszystkich antyjezuickich zarządzeń i doprowadzono go do zrzeczenia się pastorału. Po tym zwycięztwie św. Ignacy wystosował list do bezsilnego już i u nóg mu leżącego przeciwnika. List ten przytaczam w całości, jako doskonałą próbkę jezuickiego stylu i stosunku do ludzi.

„Niech łaska najwyższa — pisze św. Ignacy i miłość Pana naszego Jezusa Chrystusa będą zawsze z Waszą ekscelencją, illustrissime et reverendissime, obdarzając Ją łaskami duchownymi.

Jakkolwiek nową jest dla mnie rzeczą pisać do Waszej Ekscelencji, atoli nie powinno być nowością dla nikogo danie świadectwa swej wdzięczności za otrzymane dobrodziejstwa. Tak więc dowiedziawszy się o tych dobrodziejstwach, któremi w ostatnich czasach Wasza Eks. illustrissime et reverend., zaszczyciła nasze małe zgromadzenie i uważając za swój obowiązek zanoszenie modłów do dobroci najwyższej, oby okazała się przychylną Waszej Eks. i dała tego dowody, uznałem za swój obowiązek napisanie do Waszej Eks., nie tyle aby wywiązać się z wdzięczności (pozostawiam to Temu dla czyjej miłości te dobrodziejstwa były nam okazane) ile dla wykazania Waszej Eks. illustrissime et reverendissime, że łaski, któremi raczyła nas obsypać nie niewdzięcznikom były dane. I jakkolwiek u człowieka, jak Wasza Eks. którego Bóg Pan Nasz tak wysoko umieścił w Kościele, nasze skromne usługi mogą nic nie ważyć, błagam Waszą Eks. illustrissime et reverendisisime, aby raczyła patrzeć na nas jako na sługi swoje w Panu i posługiwać się nami ku tym większej chwale boskiego majestatu. Na dowód zaś, jak uważamy i zawsze uważać będziemy Waszą Eks. za ojca i pana, piszę do Naszych, którzy w tej chwili są w Alcala i w innych miastach hiszpańskich, aby nikogo nie przyjmowali do Towarzystwa bez zezwolenia i zgody Waszej Eks. reverendissime. Jakkolwiek stolica apostolska obdarzyła nas wielu darami dla niesienia duszom pomocy, piszę jednak do członków Towarzystwa, aby rozporządzali niemi tylko w miarę, którą Wasza Eks. illustrissime et reverendissime, uzna za właściwą i o ile powoła nas do spólnego dźwigania tego wielkiego ciężaru, który Pan Nasz na barki Jej włożył. Gdyż jak to wszystko, co Wasza Eks. dotąd dla nas uczyniła, zanim poinformowano Ją o nas, przypisuje tylko jej gorliwości w służbie bożej, tak samo teraz, gdy dano już o nas informacje, jestem przekonany, że Wasza Eks. i nadal okaże się dla nas jako prawdziwy ojciec, opiekun i pan, pomagając nam więcej niż jakibądź inny prałat tego królestwa do zbawienia dusz i wykonania tych planów, które przekłada nam Sprawca wszystkiego dobra. — Niech dobroć i mądrość boska jaknaj-

[3]) Mon. Ign. Ep. 3220.

Umoralnienie handlu.

Już starożytni Grecy łączyli w jednej Hermesa postaci boga handlu i kradzieży, a wschodnie semickie ludy nie oddzielały zbytnio od siebie tych pojęć.

Ormianie i żydzi, będąc pionierami handlu polskiego, bynajmniej nie przyczynili się do jego umoralnienia. Anarchja, jaka panuje dotąd w przemyśle i handlu, sprzyja wszędzie do łowienia ryb w mętnej wodzie i tylko stowarzyszenia współdzielcze oparte na wzajemnej pomocy w otrzymywaniu najlepszych artykułów spożywczych, mogą ustalić w handlu zasady moralności. Taką rolę wzięła na siebie u nas hurtownia współdzielcza, a opierając się na artykule pierwszym swej ustawy, który głosi *uczciwość i porządek*, zaczęła oczyszczać tę Augjaszową stajnię z wiekowych przeżytkowych uzusów — łapownictwa i szwindlu.

Zaraz przy wejściu w stosunki handlowe z zagranicą natrafiono na zupełną niewiarę do firm warszawskich, które rzadko kiedy przechodzą z ojca na syna, jak się to dzieje w poważnym handlu Zachodu, lecz są najczęściej efemerydami obliczonymi na chwilowy zarobek i późniejszą plajtę.

Następnie zaś i w kraju, przy odbiorze i wysyłce towaru, spotykano się z wielkimi trudnościami u pośredników, przywykłych do smarowidła, ułatwiającego obrót handlowy. Monopol kilku lub jednej firmy w niektórych działach pośrednictwa uniemożliwia także unormowanie się operacji handlowych — o stosunek z pierwszą ręką czyli wytwórcą, jest także bardzo trudno wobec braku akuratności i terminowości u naszych producentów, do tego stopnia, że hurtownia chcąc z nimi wejść w stałe stosunki, musi najpierw poddawać ich pewnemu egzaminowi dojrzałości ze sprawności w handlowym względzie.

Nabywcy detaliczni są też często przywykli do lichszego gatunku towaru, i trzeba ich przyuczać do kupowania lepszego, na czym w rezultacie korzystniej wychodzą, gdyż najdroższym nabytkiem jest — tandeta.

częściej nawiedza Waszą Eks. illustrissime et reverendissime, i niech wszystkim nam daje łaskę pojmowania swej świętej woli, abyśmy wypełniać ją mogli".

Waszej Ekselencji, illustrissime et reverendissime, najniższy sługa w Jezusie Chrystusie.

Ignacy Loyola.

Rzym dn. 1-go czerwca 1552 r.*)

Z każdego zdania, z każdego słowa listu wyziera straszliwe zimne, wyrachowane, słodkim uśmiechem potwornie odczłowieczone okrucieństwo inkwizytora. Czytając taki list, do pokonanego i obezwładnionego wroga pisany, widzimy tego, kto łamiąc kości i starannie wyrywając żyły ofierze swojej, zapewnia ją jednocześnie ze słodkim uśmiechem o swojej dla niej miłości; widzimy tego, kto zamykając drzwi żelazne za więźniem na śmierć głodową skazanym, klęka przed nim i powiada: rozkazuj teraz, jestem ci posłuszny, jestem wiecznym sługą twoim.

(d. n.) *Jan Hempel*

KRYTYKA.

Zygmunt Krasiński.

VII.

Że w poezji Krasińskiego obok wielkiej czułości, żaru uczuciowego i rozkochania się w pewnych kształtach są elementy okrucieństwa — nie zdziwi to chyba nikogo, kto wie, że tylko serce głęboko czujące umie być okrutne i zdolne nienawidzieć. Po Kancie, w epoce wspaniałego rozkwitu filozofji, gdy ludzkość ogarniała wzniosła gorączka myślenia i wyzwalania się przez nie — cóż chce zaszczepić tej ludzkości Krasiński? Niech na to odpowie następujący ustęp z „Niedokończonego Poematu":

Młodzieniec (który chce wzejść z mistrzem na szczyt górski): Strzelcy mówią, że stamtąd świat cały widać.

Aligier. I stąd można cały świat zobaczyć.

Młodzieniec. Jak?

Aligier. Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem.

VIII.

Nieraz szyk jego wyrazów jest wymuszony, brak mu barwnych epitetów, czasem jest zwięzły, czasem powtarza to samo na inny sposób, wzmacnia wyrazy wyrazami. Akcesorja Krasińskiego: morze, niebiosa, gwiazdy częstokroć nie żyją, istnieją tylko. Są, kiedy potrzebne, aby sterczeć, milczeć, ziać, potęgować swą masą i liczbą powagę lub grozę chwili. Jest w Krasińskim przeświadczenie, że każdy najmniejszy fragment jego poezji jest nietylko oderwanym barwnym atomem, nietylko wytryskiem barwy i światła, lecz i strumieniem, który szemrząc, zdąża do oceanu. Tym oceanem — Bóg.

Powtarza pojęcia i wyrazy, jak kapłan, któremu się nie spieszy, gdy mówi o wieczności, chce być dobrze zrozumianym i sam długo chce smakować dar mądrości boskiej, złożonej w jego sercu i rozkwitającej na ustach.

IX.

W „Irydjonie" a zwłaszcza w „Niedokończonym poemacie", prowadzony ręką Danta i oczytany w Biblji, daje obrazy rozległe, ponure, przesycone grobowym milczeniem i rudawym blaskiem pożarów. Niektóre są tak plastyczne, że tkwią potym dnie całe w wyobraźni jak widzenie obrazów malarskich. Do tych natrętnie plastycznych, ścigających wyobraźnię obrazów, należy np. obraz wyjazdu starych kardynałów z Bazyliki w „Irydjonie" i cały szereg przepysznych scen, illustrujących nędzę dni dzisiejszych w „Niedokończonym Poemacie" — jak: kupcy, siedzący na miechach, w których jęczą ich dusze; naród ukrzyżowany w „widmowym świetle księżyca". ogólny obraz kaźni dni dzisiejszych „gmach granitowy, szary, bez błękitów i zieloności, z marą słońca w wielkim oddaleniu, przybitą do pochyłych gzemsów i świecącą wiecznie ukośnymi promieniami"; postać złego Ducha na cyplu skalnym w „Śnie Cezary,'... (Są to obrazy, które może kiedyś jaki malarz polski odważnego ducha utrwali na płótnie.)

X.

A wśród jego obrazów ponurych, tłoczących się lub rozpościerających w nieskończoność, wśród jego słońc umierających i przyćmionych księżyców, wśród tego bezbarwnego żałobnego przepychu powagi i posępności nieroztkliwionej (jak w „Drobnych utworach") strzelają niekiedy samotne wykwity, dowody siły mistrzowskiej i mocarnej ręki:

„Niewidzialny księżyc gdzieś wszedł i podnosi się — już trzech piramid wierzchołki tleją nad pustynią."

Albo:

„Jaśń księżycowa wzrasta, wzrasta, a ich (kapłanów starożytnego Egiptu) pochwyciły te groby i z grobami wraz zapadają w głąb... Cóż to za jęk ogromny, taki dźwięczny, czysty? *Aligier.* Wschodzące słońce drasnęło Memnona".

Choć koler jest u Krasińskiego rzeczą rzadką, przez jego wysoce wizyjny poemat „Sen Cezary" idą jakoby symfonje dwubarwne: lśniąco złocistej barwy z czarną, białej z czarną, djamentowo skrzącej się z czarną.

Leon Choromański.

---

*) Lettres. Trad. M. Bouix. Paris 1870.

Zza kulis krytyki literackiej.

VI.

(Dokończenie).

Mylne pojmowanie krytyki jako pokwitowania, występuje zwłaszcza w obowiązującym jakoby dziś każdego ideale t. zw. krytyki syntetycznej Krytyk powinien się w autora wżyć, przeżyć każde drgnienie duszy w jego dziełach ukryte, powinien zamykać się z jego książkami, pojechać do jego kraju, sypiać na jego łóżku, ożenić się z ewentualną wdową po nim. Cudów poświęcenia i zaparcia się siebie wymaga się od krytyka. Wżyć się! przeżyć!

Pozbądźcie się złudzeń panowie poeci! Tego nigdy żaden krytyk naprawdę nie robił i nie zrobił. Jeżeli krytycy piszą o was, to dla siebie nie dla was, przeżywają, z okazji waszej, jak dobrzy aktorzy siebie, nie was. Naturalnie skala tych przeżyć zależy, tak jak w miłości, zarówno od przedmiotu, który się kocha jak podmiotu, który kocha, ale nikt nie zrozumie nigdy żadnego dzieła poetyckiego w jego tyciącznych nastrojach, skojarzeniach i intencjach, które przyświecały poecie w chwilach tworzenia Chwile te pozostaną na wieki jego własną tajemnicą i w żadnej już innej duszy nie wskrzesną, — byłoby to nawet zupełnie zbyteczne. Natura niczego nie robi dubeltowo. Chwile takie przepadają, podobnie jak przepada w niepamięci tysiące cichych bohaterstw, bo skoro ma każdy dosyć sposobności do boharerstw własnych ma prawo nie „przeżywać“ cudzych. Wogóle postulat krytyki poświęcającej się pokornie, ma u nas analogję w powieści Żeromskiego, która wyszedłszy z realizmu litości, stwarza poetyckie równoważniki dla ludzi, rzeczy i stanów maluczkich, aby, je rehabilitować lub ochronić od zagłady.

Dzieło poetyckie gotowe może innym ludziom być tylko punktem przejścia dla ich własnych myśli i uczuć. Krytyk, który wierzy, że naprawdę opisał proces twórczości autora, posiadł jego zamiary i sposoby, — może autora czasem zaskoczyć zadziwić, ale pocichu blamuje się przed nim prawie zawsze. Ale nawet sam autor skłonny jest po napisaniu dzieła interpretować je w kierunkach o których pierwotnie nie myślał, — bo jeżeli pomiędzy pewną liczbą punktów pociągnie się szereg linji łączących, można zawsze potem znaleźć jeszcze nowe połączenia.

T. zw. syntetyczna krytyka, która niby to za pomocą intuicji wskakuje w sam środek duszy autora i stamtąd niby jego twórczość ogląda, dopuszcza się mnogich oszustw i komicznych nadużyć. I zaiste, od dość dawna obija mi się o uszy hasło krytyki syntetycznej, dotychczas jednak nie mogłem się dowiedzieć, na czym ona polega, bo te krytyki, które jak się zdaje z intencją syntetyczną były pisane wydawały mi się zawsze głupstwem albo oszustwem innego gatunku A tych gatunków było głównie trzy:

1) Niesłychane konstrukcje myśli autora, o których autorowi z pewnością się nie śniło—ale krytyk podtrzymuje przecież, powołując się na to, że wprawdzie może sam autor tak nie myślał, ale w nim coś myślało po za jego świadomością, jego genjusz, genjusz narodu, klasy i t. p. Bywają to zwykle kukułcze jaja samego p. krytyka, podłożone autorowi.

2) Odgadnięcia metafizyczne duszy autora, w której krytyk z mocy swego natchnienia odkrywa takie głębie i warstwy, że autor albo umiera przeraziwszy się własną wielkością albo wiesza się zrozpaczony beznadziejną pustką w sobie. Ulubioną sztuką stylistyczną tych odgadywaczy jest stawianie tego, co autor dokonał, w czasie przyszłym, czyli przepowiednie na wstecz: np. „taki autor przyłoży ucho do serca maluczkiego ...i będzie nadsłuchiwał jego pulsów, jego ludzie będą mieli aureolę i t. d“. Chodzi tu bowiem o wywołanie złudy, że krytyk znalazł formułkę istoty autora, z której to formułki wszystkie jego czyny poetyckie wynikają już same z absolutną „koniecznością“.

3) Obślinianie posągów zachwytem, popisywanie się potęgą uwielbienia, i odwagą przesady. Oto przybiega przed nos krytyk rozpalony do czerwoności, prosto z kuźni genjalnej, i zadyszany chce opowiadać.. cóż dziwnego, że używa tyle kropek i wykrzykników. Opowiada nam potym treść dzieła w słowach tak poetycznych, jakby chciał autora przesadzić, i bywa wtedy nieraz podobnym do koguta, który opowiada kurom o locie orła, i od czasu do czasu sam podlatuje, nadrabiając pisa-[illegible]

Powyżej powiedziałem: opowiada treść dzieła, lecz muszę go przeprosić, gdyż właśnie reguła tej krytyki syntetycznej jest, aby nigdy treści nie opowiadać, lecz dawać nastrój, smak, zasadę, rzut, błysk syntetyczny. Opowiadanie treści uważa się za coś przestarzałego. Wprawdzie Hebbel powiedział, że opowiedzieć treść jest jednym z najtrudniejszych zadań krytyka, gdyż dekompozycja jest tak samo trudna jak kompozycja — ale wszakże to wszystko już pachnie analizą, tej zaś krytyk polski powinien unikać przedewszystkiem, jeżeli chce być narodowym i intuicyjnym.

Nigdy jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego tylko trans zachwytu ma uchodzić za symptom syntezy, a nie np. spokojna analiza, którąby przecież była niemożliwą bez uprzedniego wglądu syntetycznego. Analiza może być przecież także jednym ze sposobów wyrażenia syntezy, a nawet jej maską, podobnie jak indukcja jest maską dedukcji Nadto byłby jeszcze taki jeden sposób krytyki syntetycznej, mianowicie:

Gdyby krytyk wkładając się w rolę autora, pokazywał, gdzie i jak mógł autor inaczej rzecz poprowadzić, albo też, że tu i tam mogła mu się nasunąć myśl gorsza, rozwiązanie banalniejsze, lecz autor tu właśnie pokazał swoje atuty i t. p. Kilka wzorów takiej krytyki dał Hebbel, u nas uprawiał ją o ile mi wiadomo tylko Womela. W ostatnim zaś czasie pojawiła się jedna rzecz tego rodzaju Grubińskiego o „Klątwie“ — tu krytyk i streszcza i pokazuje zalety i błędy, i rozwija temat dalej według własnego konceptu. Nie wiem, czy p. Feldman ten sposób omówienia „Klątwy“ uzna za syntetyczny; p. Baczyńskiemu (w *Prawdzie*) wydawało się ono podejrzanym, gdyż nie wnikało obiektywnie w twórczość Wyspiańskiego. Twórczość jednak należałoby mierzyć twórczością i taka krytyka przynosi zaszczyt autorowi i krytykowi.

Jeżeli wogóle trzeba tej tam jakiejś krytyki syntetycznej... Lecz nie chciałbym już naruszać nazwy i pojęcia. Wszystko zależy od właściwego—jak mówi Schopenhauer — subsumowania (podciągania) objawów pod pojęcia, z tem jednak dzieją się ustawiczne *qui pro quo*, których wykrywanie w krytyce krytyki jest tak samo jednym z głównych jej zadań, jak każdej innej.

Karol Irzykowski.

Refleksje Voltaire'a.

Nakładem wydawnictwa „Sympozion" w przekładzie i wyborze Grzegorza Glassa ukazał się tom myśli, uwag i spostrzeżeń, wyjętych z pism Voltaira. Podajemy zeń, miast recenzji, szereg najświetniejszych błysków.

Atomy, warte śmiechu — tworzymy boga na podobieństwo własne, a zowiąc „duchem" zdolność daną nam przez najwyższą wszechmogącą Istotę i ulokowaną w długiej na sześć palców klatce t. j. mózgowiu — sądzimy, że Bóg jest duchem podobnym. Poczciwy ludek! Zawżdy i wszędy Bóg na podobieństwo człowieka

* * *

Prawo „ludu wybranego" nie zawiera ani słowa o bezcielesnej nieśmiertelnej duszy. Czy nie jest to godne zastanowienia? Nigdzie Mojżesz nie wspomina o nagrodzie i karze w zaświatach, nie obiecuje nieba, nie grozi piekłem.

Wszystko tam jest prochem z prochu...

* * *

Natura nie dba o jednostkę. Jest ona jak mocarze poświęcający miljony ludzi dla swoich celów.

* * *

Czymże wreszcie są wasze bogi?

Albo przebóstwiony żywioł zła i zła tego nieskończoność, twórca, który pchnął swe twory w nicość, albo symbol nieprzemyślnej głupoty, która tworząc, nie zdolna jest przewidzieć i oddalić nędzy i ułomności swego tworu.

* * *

Religja i morał mogą człowieka poskramiać, nigdy zniszczyć.

* * *

Ach, gdybyśmy mogli przetwarzać nasze charaktery!... Małostka! Bylibyśmy panami natury.

* * *

Nieskończoność cyfry może być również dowodem naszej nieumiejętności znalezienia jej kresu...

* * *

Na przekór fanatykom, łotrom, głupcom historja Chrystusa, jak zresztą wszystko, może być przedmiotem badania.

* * *

Muszę bronić mnichów przeciw zarzutom, jakoby wynaleźli piekło. Jest to fałsz! Wynaleźli oni tylko sposób wyłudzania pieniędzy od żywych i dali kawał patetycznego piekła na ziemi.

* * *

Gatunek ludzi, poczuwających się do kapłaństwa, (mówię o wszystkich kultach), zawsze i wszędzie gardził cnotą umiarkowania, świecąc przykładem zbrodni i wybryków.

* * *

Doskonałą próbkę i wieczystą hańbę fanatyzmu daliśmy... sami, my — Francja w noc św. Bartłomieja... O jasna wiaro! Czemże jest niewiara?

* * *

Jedyną autentyczną ewangielją jest wielka księga natury pisana ręką Boga i zaopatrzona w jego pieczęć.

* * *

Historja sądów ludzkich (opinji publicznej) nie jest niczym innym jak protokółem błędów.

* * *

Być mądrym znaczy przedewszystkim unikać gromady głupców. Mędrzec niech żyje z mędrcami, — inaczej go rozkradną i imię jego na przypowieści.

* * *

Jedyną postacią wiecznego pokoju byłoby wieczna, niewymuszona tolerancja.

* * *

Ciągłość niewoli — to wróg nad wrogi niewolnika i sprzymierzeniec na żołdzie ciemięzcy.

* * *

Wszystkie ewangielje przezornie milczą o wolności politycznej, społecznej, ekonomicznej. Miłość chrześcijańska nietylko nie rozkuła człowieka, ale jeszcze oddaliła dzień wyzwolenia na długie wieki.

* * *

Inne czasy — więc niech będą też i nowe prawa!

* * *

Patryjotyzm republikanina sięga głębiej, aniżeli lojalność poddanych.

* * *

Glebą oporną jest język, artystą — kto potrafi ją wykarczować i uczynić kwitnącą.

* * *

Z książkami dzieje się jak z ludźmi. Znakomita mniejszość zabiera dla siebie co przedniejsze role, reszta ginie niesławnie porwana przez żałosne prądy czasu.

* * *

„Ojcze nasz! Zbaw mnie od manjaczej furji pisania książek". Tak wzywam co rano, zanurzając pióro w inkauście.

* * *

Jest to hańba ludzkości, że kult sztuki stanowi przywilej klas bogatych.

* * *

Tytuł do wieczności przysługuje tylko artystom dobrego smaku.

* * *

Chcesz poznać miłość?

Ucz się u wróbli, gołębi, psa, buhaja, ogiera. Ale zawiść powściągnij. Nie zajrzyj zwierzętom bystrości i mocy w miłosnem upojeniu. Tu przewaga bujności i wielostronności człowieka święci tryumfy.

Żadne zwierzę nie zna... pocałunku, tej długiej przeciągłej rozkoszy.

* * *

Kobieta potrafi w przedziwną związać całość: miłość — bigoterję — politykę — obłudę.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** *Igraszki chełmskie.* W zeszłym tygodniu zaszedł w toku dyskusji chełmskiej zwrot sensacyjny, który stał się powodem wielu nieporozumień. Oto na wniosek von Anrepa Duma większością 4 głosów uchwaliła z ustawy chełmskiej wykreślić zwrot o odłączeniu nowej gubernji od Królestwa. Mimo że z motywów tego wniosku aż nadto wyraźnie przebijała złośliwa i niebezpieczna intencja—w Warszawie —stwierdza *Kurjer Poranny* — huczało: Zwycięstwo naszego poselstwa! Chełmszczyzna ocalona!

Organ jedynie prawdziwej narodowej demokracji *Głos Warszawski*, w dwanaście godzin potym oświadczył, że uchwała ma znaczenie bardzo doniosłe, pierwszorzędne i pouczył, że „zasługuje na szczególną uwagę z punktu widzenia tej dyskusji, która się u nas toczy od lat paru, dyskusji o zadania przedstawicielstwa naszego wogóle [illegible] chełmskiej". Dziennik p. Dmowskiego wskazał ze wzgardą na tych, którzy z powszechnym u nas lenistwem uznali sprawę za przegraną z góry i myśleli wyłącznie o tym, jak przeciw krzywdzie za- [illegible] uczucia. Szydził z „aplombu" tych krytyków polityki Koła polskiego, którzy ostrzegali, że nietrzeźwością jest łudzić się, jakoby istniały chociażby najmniejsze widoki powodzenia. Wykazywał mądrość polityki Koła polskiego, które postępowaniem politycznym tak kierowało, ażeby umożliwić sobie porozumienie z partją Von Anrepa i piętnował niegodziwość „napaści przeciwko tej polityce [illegible]".

Aliści na drugi dzień wiadomym się stało, że Chełmszczyzny nie potrzeba było z Królestwa Polskiego wyłączać, bo Królestwa Polskiego oddawna już niema!

Nie gubernja Chełmska, ale wszystkie gubernje Przywiślińskie skazano na wyłączenie z Królestwa Polskiego, o którym już nie powinno być mowy. W projekcie chełmskim został jeszcze jakiś ślad pierwotnych motywów, jakie go zrodziły. Zadania usunięcia tego śladu podjął się Von Anrep. Koło Polskie pomogło mu do tego z zapałem, a część Warszawy, wierząca jeszcze w p. Dmowskiego, trzęsła się ze wzruszenia z powodu „cudu" i rozpływała się z zachwytu nad cierpliwą genjalnością swych przedstawicieli.

Z całej tej sprawy wyłania się gorzka na przyszłość nauczka dla zarozumiałych i nadętych kierowników Koła—by raz nareszcie przestali zwodzić społeczeństwo mirażem jakowychś misternie nad Newą plecionych układów z „miarodajnymi", tej miary co von Anrep, mężami stanu, od których niczego, prócz kopnięć, spodziewać się nie wolno, dla ogółu zaś przestroga, by w obecnych warunkach nie liczył na żaden przyjazny cud.

*** *Gorsi od Kołłątaja.* Powściągliwe zazwyczaj *Słowo* pozwoliło jednemu ze swawolnych swoich publicystów pohasać wzdłuż i wpoprzek olbrzymiej postaci Kołłątaja. Wywiązał się z tego zadania p. W. Kosiakiewicz z właściwą sobie gracją, jak świadczy poniższy ustęp:

Ten człowiek lichy, marny, niewdzięczny wobec dobroczyńców, mściwy wobec wrogów, drapieżca dóbr duchownych, narodowych i prywatnych — rzecz dziwna, rzecz znamienna, rzecz prawie nie do wiary — posiadał w duszy stale, ciągle, niezniszczalne pragnienie dobra kraju. Cokolwiek on robił dla wywyższenia siebie, to zawsze z tą myślą, aby oddać na każdym stanowisku usługi ojczyźnie. Jego egoizm, jego lichota, jego chciwość, jego karjerowiczowstwo — mają granicę — chce on służyć krajowi, a nie komu innemu. Bezinteresownym nie jest nigdy. Ale zawsze pragnie połączyć swój osobisty interes z interesem publicznym. W korespondencji jego niema cynizmu. Jest on typem karjerowicza, w środkach swych bezwzględnego, podstępnego i okrutnego, gdy tego wydaje mu się potrzeba, ale nie pozbywającego się nigdy wiary w dobro ogólne. To dobro pragnie on wyzyskać, ale nie zniszczyć.

Są od takich karjerowiczów — gorsi.

Ostatnie zdanie wymknęło się z ust autorowi w przystępie chrześciańskiej pokory, której mnogie składa dowody, od chwili gdy znęcony blaskiem imienia hr. Sobańskiego znalazł się w „czeladce bożej" obok pp. Miecznika i Dworzaczka. Skoro więc *Słowo* świadczy o jednym z głównych twórców Konstytucji 3-go maja, że „jego egoizm, jego lichota, jego chciwość, jego karjerowiczowstwo, — mają granicę — chce on służyć krajowi, a nie komu innemu" — to tych słów nikt nie zastosuje do p. Kosiakiewicza, który jest wszak od Kołłątaja gorszy.

*** *O pracę organiczną.* Dotychczas—pisze *Kultura Polska* — wyjąwszy kilku ludzi starszych, którzy byli uczestnikami lub świadkami tego ruchu, nikt nie ma o nim należytego pojęcia, a najmniej ci, którzy go zniesławiają — „przewartościowywacze wszelkich wartości".

Ale zaczyna się reakcja i coraz częściej słyszymy głosy, dowodzące, że jako droga ratunku i źródło siły pozostaje nam tylko... praca organiczna. Może za rok lub dwa ten podeptany i opluty sztandar będzie znowu powiewał, jako znak życia i walki. A nawet tak być musi. Bo cokolwiek wymędrkujemy lub wyrozumujemy, jako radę dla społeczeństwa, praca organiczna pozostanie wiecznie jego najpierwszym przykazaniem, bo ona jest nim dla wszystkich narodów we wszelkich warun- [illegible] scu jej zadania.

Zależnie też od czasu, zadania pracy organicznej u nas uległy zmianom doniosłym, z których zdają sobie sprawę nie wszyscy z jej obrońców; jeśli przed laty 40 zmierzali „organicznicy" do tego, by w czysto szlacheckim narodzie wytworzyć *stan trzeci* z właściwą mu pozytywną i twórczą ideologją, to dziś chodzi o coś nierównie większego: o mobilizację gospodarczą i kulturalną najszerszych kół społeczeństwa, gdzie wespół z poczuciem narodowym trzeba koniecznie rozwijać świadomość i technikę realnej pracy zbiorowej ku podźwignięciu kraju na wyższy stopień dobrobytu i kultury. Bez tej niezbędnej w ustroju współczesnym podstawy, jaką jest pewien materjalny dobrobyt mas osiągnięty własnym trudem, wszelkie, choćby najmisterniej uknute kombinacje czy programy polityczne, są poprostu szkodliwym bałamuctwem.

Z prasy zagranicznej.

*** *Wieść ze Wschodu.* Nietylko Chińczycy zdumiewają świat swoim duchem obywatelskim i zapałem patrjotycznym: pod tym względem

i Chinki nie dają się wyprzedzić. W miesięczniku *Les Documents du Progrès* czytamy:

„Uczennice szkoły miejskiej Chang-Yu w Szanchaju wystosowały do naczelnika wojsk tego okręgu list następującej treści:

— Jenerale!

Niebo dało mężczyznom i kobietom równe prawa. Niegdyś uprawiały i kobiety rzemiosło wojskowe. Potęga Mandżurów słabnie, a siła Chińczyków rośnie. Wszystkie prowincje łączą się z republikanami z Hu-Pe; cudzoziemcy również witają rewolucję przychylnie. Kupcy i studenci sformowali pułki, które walczą po bohatersku.

Niebawem będą Mandżurowie wygnani zupełnie z naszego kraju; ale dotąd nie pomyślano [illegible] bały się śmierci? Zali nie są one godne dźwigać broni? Nie chcemy być dłużej upośledzone i zostawiane gdzieś na uboczu. Pragniemy wespół z wami uczestniczyć w boju z nieprzyjaciółmi: igła nam już nie wystarcza, żądamy broni!

Tworzą się tu oddziały dziewczęce i z niecierpliwością czekają na Pańską aprobatę".

Jenerał odpisał lakonicznie:

— Szanowne Panie Uczennice!

Gdy będziemy Was potrzebowali, damy Wam znać".

I któżby się spodziewał, że Chiny, zakrzepły twór gnuśnego Wschodu, dadzą nam kiedykolwiek wzór iście spartańskich cnót politycznych i lakonicznej wymowy?

KRONIKA.

„RÓŻNOJĘZYCZNOŚĆ" ŁODZI. Według danych liczbowych, zebranych przez magistrat, liczba ludności Łodzi przedstawia się w sposób następujący: Rosjan 4,090, Polaków 222,342, Niemców 121,224, Żydów 100,293, razem 447,949.

A więc Polacy stanowić tu mają zaledwie połowę ludności.

NOWE UCZELNIE POLSKIE. Zatwierdzono ustawy: szkoły handlowej 7-klasowej Zgromadzenia kupców w Łodzi, oraz szkoły handlowej w Pabjanicach, którą zakładają fabrykanci i mieszkańcy miasta. Wykłady w obu szkołach odbywać się będą w języku polskim.

Powstawanie nowych uczelni naszych uważać należy za objaw nader dodatni i pożądany.

Książki nadesłane do Redakcji:

Stefan Kiedrzyński: „Ś l a d e m K o b i e t y", romans trzech kochanków. Warszawa, nakład Bilińskiego i Maślankiewicza. Cena rb. 1.

Tadeusz Ulanowski: „S u m m a s u m m a r u m". Z rysunkami autora. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Str. 105.

O G Ł O S Z E N I A.

Wydawnictwa „PRAWDY“.

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA **k. 75**

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia **rb. 2**

Prenumerata „Prawdy“

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartał. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 [illegible] rb. [illegible]

Za zmianę adresu [illegible] kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje [illegible] nie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 [illegible] garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce [illegible] na ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

[illegible]daż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach

[illegible]istracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Mesjasz czy Parjas narodów? — ECHA PRAWDY: Jak „Światło“ pojmuje romantyzm. — Jak „Światło“ oświeca kramarzy. — Na co idą polskie pieniądze. — Do czego służą polskie głosy. — Co robią polscy księża w Ameryce. — Co nas najwięcej zajmuje? — Meandry — Umoralnienie handlu. — Egzamin dojrzałości czwartego stanu, przez Orjona. — Socjologiczno-polityczne poglądy Hugona Kołłątaja, przez Dr. Z. Daszyńską-Golińską. — Wskrzeszony Autorytet, przez St. Romanowskiego. — W zaborze pruskim, przez obserwatora. — BADANIA NAUKOWE: Korespondencja [illegible]o Loyoli, przez Jana Hempla (Ciąg dalszy). — KRYTYKA: Zygmunt Krasiński, przez Leona [illegible]

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, [illegible]